Brak daty śmierci

REJESTR DOTYCZY:

KENT /f. KACPRZYK/ Janusz-Seweryn

s/c ..... i .....

z d. .....

* 1925 w Warszawie

kraj: POLSKA

-+ ..... w .....

kraj: .....

pochowany: .....

nr grobu: .....

Nr rejestracyjny

...../.....

Nota zamieszczona:
w tomie .....
czesci .....

Indeks

ARCHITEKCI

Copyright: 1970
B.O. Jeżewski

Źródła i bibliografia c.d.:

znak rozpoznawczy

Uwagi:

JANUSZ S. KENT A.R.I.B.A.

CHARTERED ARCHITECT

With Compliments

33, SOUTHAMPTON STREET,
STRAND, LONDON, W.C.2.

COVENT GARDEN 0077

po 23 X 62

ENTRY	CORRECTIONS
KENT / f.Kacprzyk/, Janusz Seweryn, A.R.I.B.A., Chartered Architect; ~~had his own~~ private ~~architectonical bureau~~ practice in London since 1959. Born 1925 in Warsaw, Poland; arrived in U.K., 1945; became British subject, 1956; m. 1948 Celina Śliwińska.....; drs: Anna-Maria /1950, Weymouth/ and Joanna-Helena /1957, Farnborough/. Off. Add.: 33, Southampton St., Strand, London WC2, tel. COV 0077, Engl.	..? v Polsce ś. m/arrried..... ...imię i nazwisko

WHO'S WHO AMONG POLES

(of nationality or origin)

IN THE BRITISH COMMONWEALTH OF NATIONS

95, BLACK LION LANE, LONDON, W.6, ENGLAND

tel. RIV 5616

29.4.1960.

Dear Sir/Madam/,

We should be most grateful if you would kindly revise or approve your biographical notice, and send it back to us by return post so that it may appear in Who's Who Among Poles, which will be published in early 1960.

No obligation is involved in so doing, and no charge is made for an entry which appears in Who's Who Among Poles.

Thanking you in anticipation

POLONIA
W SWIECIE
ENCYKLOPEDIA
i SŁOWNIK BIOGRAFICZNY

95, Black Lion Lane,
London, W.6, England

KWESTIONARIUSZ BIOGRAFICZNY

Janusz Seweryn KACPRZYK - KENT

1. Nazwisko i imiona

21.I.1925, Warszawa, Polska

2. Data, miejsce i kraj urodzenia

Brytyjskie 15/5/56

3. Obywatelstwo

Inzynier Architekt
(Associate of the Royal Institute of British Architects.)

4. Wykształcenie, studia, dyplomy, tytuły naukowe i t.p.

Architekt

5. Zawód główny i ew. specjalizacja w zawodzie

Prywatne biuro architektoniczne

6. Obecne stanowisko albo zajęcie

7. Odznaczenia (przy orderach—klasa)

8. Ważniejsze stanowiska, prace, zajęcia, udział w życiu naukowym, społecznym, wojskowym, politycznym i t.p.

9. Ważniejsze opublikowane prace naukowe, literackie, artystyczne (artyści : wystawy, koncerty, sztuki teatralne i t.p.).

Anna Maria ,16.I.1950, Weymouth,Dorset, Engl.
Joanna Helena,31.I.1957,Farnborough, Kent,Engl.

10. Dane rodzinne : nazwisko panieńskie żony i imiona dzieci wraz z rokiem i miejscem urodzenia.

11. Uwagi :

5th May 1979
Data

Podpis

12. Instrukcja : wydawnictwo zastrzega sobie prawo skracania, dla celów redakcyjnych, wszystkich danych zawartych poza rubrykami 1 do 6 (włącznie). Przed oddaniem do druku tekst redakcyjny będzie przesłany do wiadomości osobie zainteresowanej.

Wydawnictwo po wykorzystaniu redakcyjnym kwestionariuszy biograficznych stworzy z nich archiwum, które po latach przekaże jako trwały materiał historyczno-biograficzny jednej z instytucji naukowych poza Krajem dla celów archiwalnych.

KWESTIONARIUSZ JEST PRZEZNACZONY WYŁĄCZNIE DLA ADRESATA

TAURUS
REFERENCE BOOKS

STIBORIANUM-PRESS Ltd.

JANUSZ S. KENT, A.R.I.B.A. · CHARTERED ARCHITECT
33, SOUTHAMPTON STREET, STRAND, LONDON, W.C.2. COVENT GARDEN 0077

JSK/AKN

5-go Maja 1959r.

W.P.Red.Bohdan O.Jeżewski
95,Black Lion Gate
London.W.6.

Szanowny Panie Redaktorze,

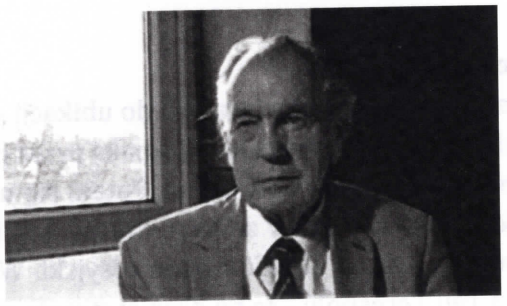
W załączeniu przesyłam kwestionariusz biograficzny wręczony mi przez kolegę R.Zawiszę.

Załączam życzenia powodzenia w pracy

z poważaniem

J.S.Kent

Janusz Seweryn Kent
Oral History Archives <
Pseudonim Adamska „Janusz
Rok urodzenia: 1925
Ranga: kapral
data wywiadu: 25.01.2008
Military division
OS-5 „Baszta"
District
Mokotów, Lasy Chojnowskie



Janusz Kacprzyk-Kent. Miałem stopień kaprala z cenzusem. Urodziłem się w Warszawie na Woli 21 stycznia 1925 roku. Byłem w oddziale „Kedywu" DB 19, a w czasie Powstania [byłem] przydzielony do oddziału OS 5 (Osłona Sztabu), który działał na terenie Mokotowa, czyli przydzielony do „Baszty". Pseudonim „Janusz".

- **Proszę opowiedzieć o latach przedwojennych. Czym się zajmowali pana rodzice, czy miał pan rodzeństwo?**

W latach przedwojennych mieszkaliśmy w centrum Warszawy. Ojciec był inżynierem instalacji sanitarnych. Chodziłem do szkoły Górskiego. Miałem siostrę.

- **Jak pan wspomina Warszawę? Jakie to było miasto?**

To było piękne, kochane miasto. Strasznie trudno sobie zdać sprawę z tego, że to wszystko potem zniknęło i przestało istnieć, ale straszna radość, że z powrotem jest. Oczywiście bardzo dużo czasu [upłynęło] od tego momentu.

- **Gdzie pan mieszkał w Śródmieściu? Urodził się pan na Woli?**

Urodziłem się na Woli, a potem przeprowadziliśmy się do Śródmieścia. Mieszkałem na rogu Wilczej i Marszałkowskiej, bardzo blisko Dworca Głównego. Mam bardzo miłe wspomnienia z lat przedwojennych, rodzice robili wszystko, żeby nam pokazać Polskę, tak że byłem w wielu miejscach w Polsce. Byłem harcerzem w drużynie [imienia] hetmana Żółkiewskiego, która była przy szkole Wojciecha Górskiego. Ledwo działania wojenne w 1939 roku się zakończyły, harcerze zgłosili się do mnie i zaciągnęli mnie do Związku Walki Zbrojnej. Odtąd zaczęła się moja historia działalności w czasie okupacji.

- **Jak wyglądało przed wojną harcerstwo? Jeździło się na obozy?**

Były zbiórki, jeździłem na obozy. Mieliśmy obozy letnie na Wołyniu, na Podolu, w zimie pod Zakopanem, tak że byłem bardzo aktywny, miałem masę sprawności. Trzeba było się wykazać i dostawało się sprawność.

- **Jak pan zapamiętał wrzesień 1939, wybuch wojny? Czy mówiło się, że wojna wybuchnie?**

Tak, mówiło się, że wojna wybuchnie. Nie spodziewaliśmy się, że to przyjmie taką formę i ostatni dzień przed wojną spędziłem na jeziorach augustowskich, [pływając] żaglówką z ojcem. Wszyscy wracali do Warszawy, pociągi były pełne. Namawiałem ojca, żebyśmy zostali dłużej, bo będzie więcej miejsca, spokój. Przyjechałem do Warszawy pociągiem akurat w momencie, jak bombardowany był Dworzec Główny. To był początek prawdziwej okupacji. Pamiętam, że po drodze gdzieś kupiłem za ostatnią złotówkę tabliczkę czekolady Wedla (była bardzo znana i kosztowała jeden złoty). Dzisiaj takie tabliczki są też, bardzo podobne, tylko więcej kosztują (więcej niż wtedy to było, ta złotówka).

- **Czy obronę Warszawy spędził pan w Warszawie?**

Nie. Zanim zaczęło się oblężenie Warszawy było wezwanie od burmistrza, żeby wszyscy zdolni do noszenia broni wyszli z Warszawy i udali się na wschód. Też wyszedłem wtedy, udałem się na wschód, na piechotę, z rowerem.

Przejechałem przez Polskę i w Kowlu wstąpiłem do wojska. W transporcie wojskowym przewieziono nas przez Polesie wąskotorową kolejką i dojechaliśmy do linii Pińsk – Młyniec. Jechaliśmy dalej na wschód, ale pod stacją Horodziec zostaliśmy zaatakowani przez rosyjskie czołgi i po małej potyczce wzięto nas wszystkich do niewoli. Stałem się jeńcem wojennym – nie niemieckim, a sowieckim. Miałem na tyle rozsądku, że udało mi się po dwunastu godzinach uciec.

- **Czy słabo pilnowali Sowieci?**

Chyba tak, bo poprosiłem, żeby mnie zaprowadzili do ubikacji – na stacji w wagonach bydlęcych nas trzymali – wartownik stał przed ubikacją, a ja z tyłu dałem drapaka przez płot i uciekłem. Przeszedłem [około] pięćdziesiąt kilometrów jednego dnia, do Kobrynia doszedłem. Potem się udałem do Brześcia nad Bugiem i widziałem, jak była defilada niemiecko-rosyjska. Niemcy zdawali Brześć nad Bugiem Rosjanom, bo przyszli tam wcześniej, a potem była między nimi umowa, że Brześć będzie rosyjski. Widziałem defiladę. Dalej uciekłem, znowu mnie złapali, czerwona milicja, [w] Terespolu – to po drugiej stronie rzeki było. Jechałem, autobusem mnie wieźli (tam jakaś twierdza była). Miałem wielkie szczęście, drzwi do autobusu były otwarte i [mimo że] siedział przede mną milicjant z rewolwerem w ręku, wyskoczyłem z autobusu i udało się. Za mną nawet nie strzelali, bo się bali, że inni, co w autobusie byli, że się na nich rzucą, więc udało mi się uciec. Doszedłem w końcu pod Warszawę, do Garwolina. Czekałem w Garwolinie, aż otworzą wejście do Warszawy, bo jeszcze był wtedy moment, że Warszawa była w stanie oblężenia.

- **Jak wyglądała defilada w Brześciu?**

Była defilada, niemieccy i rosyjscy oficerowie stali – maszerowali Niemcy i potem maszerowali Rosjanie – krótka defilada.

- **Czy dużo było cywili, którzy stali i przyglądali się?**

Na pewno [byli], ale trudno mi powiedzieć – tak, jak ja byłem też, stałem. Wszyscy byliśmy chyba w wielkim szoku po tym wszystkim, jak to szybko się stało i jak się zmieniło.

- **Jak traktowali jeńców Sowieci?**

Nie mieli czasu mnie traktować. Widziałem tylko, jak odprowadzili wszystkich oficerów – z naszego transportu zostali odprowadzeni w inne miejsce. Przespałem się w wagonie bydlęcym tylko przez jedną noc i rano prosiłem, żeby mnie wzięli do ubikacji i zniknąłem, tak że nie mam osobistego doświadczenia, jak traktowali jeńców.

- **Oficerowie byli od razu odłączeni?**

Oficerów, z miejsca, odłączyli od transportu i odprowadzili ich gdzieś – nie wiem gdzie, ale nie byli razem z nami w tym samym transporcie. Co zrobili z resztą jeńców – nie wiem, prawdopodobnie pojechali na wschód.

- **Czy pan wtedy na ochotnika się zgłosił?**

Zgłosiłem się na ochotnika, tak że byłem tym najniższym. Prawdopodobnie skłamałem mój wiek, bo jestem urodzony w 1925 roku, to był 1939 rok, piętnaście lat miałem. Ale byłem dość dużym chłopcem, tak że nie bronili się mnie [wziąć]. To były moje początki.

- **Czy wszedł pan, jak trwała obrona Warszawy?**

Jak byłem pod Garwolinem, to jeszcze trwała obrona Warszawy i nie wpuszczali. Przyjechałem do Warszawy chyba pierwszego dnia, jak otworzyli wejście do Warszawy. Cała moja rodzina się zeszła, bo [wcześniej] wszyscy się rozpryśli. Moja siostra zgłosiła się jako harcerka do Czerwonego Krzyża i była siostrą sanitarną w szpitalach wojskowych. Tego samego wieczora żeśmy wszyscy się zeszli w naszym domu, który, chwała Bogu, ocalał bez żadnych zmian.

- **Jak zaczęły się lata okupacji? Wkroczyli Niemcy...**

Niemcy byli w Warszawie. Wstąpiłem do Związku Walki Zbrojnej przez mój oddział harcerski i ostrzeżono mnie, że prawdopodobnie będę potrzebny, możliwe, że będę musiał gdzieś granaty rzucać. Troszkę byłem jeszcze wtedy tym przerażony, bo spadło to na mnie ni stąd ni zowąd, ale byłem harcerzem.

- **Czy składał pan wtedy przysięgę?**

Składałem przysięgę. Nie bardzo pamiętam, ale składałem przysięgę we wstępnym momencie i pamiętam dokładnie, że zostałem przydzielony do sekcji wywiadowczej. Był młody człowiek, prawdopodobnie w stopniu oficera, Wojciech Brzozowski, z którym działałem, robiliśmy wywiad Mokotowa. Wszystkie obiekty niemieckie – robiliśmy wywiad, tak że wchodziliśmy na tereny niemieckich obiektów. Czasami to bardzo było połączone, bo się kończyło tym, że grozili nam pistoletami. Przeszedł czas i w 1942 roku zostałem przeniesiony do „Kedywu" pod dowództwem Tadeusza Jaegermana, który był ostatnim dowódcą oddziałów w Powstaniu. Byłem związany z różnymi akcjami, które wykonywaliśmy aż do czasu Powstania.

- **Czy mógłby pan opisać te akcje – co pan robił?**

Pierwsza akcja, w jakiej brałem udział – byliśmy ochroną oddziału, który wykopywał broń na cmentarzu, zdaje się, że to była ulica Puławska. Bardzo daleko na zachód, chyba w okolicach Królikarni był cmentarz i tam, po oblężeniu 1939 roku, było dużo zakopanej broni. Myśmy całą noc tam przesiedzieli w stanie pogotowia, na tym cmentarzu, a inni kopali broń. Rano żeśmy się wszyscy rozeszli. [...] O wczesnym poranku żeśmy się rozeszli i wracali do domu. Było nas trzech, nasze miejsce, gdzie trzymaliśmy broń było na rogu Wilczej i Mokotowskiej. Od ulicy Pięknej wysiedliśmy z tramwaju na Alejach Ujazdowskich i Piękną doszliśmy do rogu Mokotowskiej. Jak wyszliśmy za róg, to akurat szedł niemiecki patrol, prosto na nas. Z miejsca żeśmy się cofnęli. Jechała dorożka – wpadliśmy w dorożkę i pędem pojechaliśmy w stronę Alej Ujazdowskich. Stamtąd wyskoczyliśmy, ale Niemcy też. Skończyło się tak, że jeszcze w Alejach Ujazdowskich, prawie na poziomie ulicy Wilczej, rozłożyliśmy się z naszymi pistoletami na trotuarze i czekaliśmy aż Niemcy przyjdą, bo nie było dalszej możliwości [ucieczki]. Niemcy nie przyszli. Przyjechał tylko tramwaj – śmieszny moment – motorniczy jechał, zobaczył, że leżą goście na chodniku, rozłożone pistolety mają, granaty – tylko zakręcił korbą i zabrał tramwaj stamtąd. Wróciliśmy do domu szczęśliwie. Rodzice trochę byli przerażeni, co robię o tej porze dnia w bardzo zabłoconych butach, ale domyślali się, co to musiało być. Inna moja osobista akcja. [...] Dostałem z kolegą nakaz, żeby zlikwidować *Reichdeutscha,* który był bardzo niewygodny i trzeba było się go pozbyć. Z kolegą, jednym z członków oddziału, w którym byłem, poszliśmy tam wykonać wyrok. Trochę to było skomplikowane, bo w trakcie, jak żeśmy przyszli, przyjechało gestapo do tego domu i musieliśmy się wykazać, że nie jesteśmy niebezpiecznymi ludźmi, jakkolwiek mieliśmy granaty zawinięte w paczuszki – wisiały nam na palcie, na guzikach, wyglądały jak kanapki na podróż. W momencie gdy gestapowcy wysiadali z samochodu, myśmy udali, że jesteśmy kolegami, spotkaliśmy się, idziemy na spacer. W końcu odjechali, a myśmy wrócili do budynku. *Reichdeutsch* się tam ukrywał, udawał dozorcę budynku, a jednocześnie szpiegował w okolicach. Jak przyszedł, wylegitymowaliśmy go, kazałem mu się położyć i wykonałem wyrok strzałem w tył głowy, w potylicę. To było wielkie dla mnie – byłem młodym chłopcem – wielkim wstrząsem, bo jednak zabrać komuś życie to nie była łatwa sprawa, ale takie były czasy. Po tym wszystkim jeszcze musieliśmy pójść, razem z moim kolegą [do innej] grupy ludzi, którzy należeli do AK, ponieważ mieliśmy broń na sobie, którą się nie zawsze nosiło, bo nosiło się broń tylko wtedy, jak był rozkaz, żeby ją użyć do czegoś. Ale [chodziło o to], żeby wykorzystać, że byliśmy z bronią. Była grupa młodych ludzi, gdzie pokazaliśmy im broń, jak się jej używa, jak wygląda, tak że mieli lekcję po drodze do domu.

- **Czy można było odmówić wykonania takiego rozkazu?**

Nie przyszło mi to do głowy. Prawdopodobnie tak. Gdybym powiedział, że nie czuję się na siłach – z takich czy innych powodów – to prawdopodobnie nie byłoby takiego nacisku, bo wtedy podważyłoby to, czy [dana] osoba nadaje się do takiej pracy.

- **Czy Reichdeutsch się bronił?**

Nic się nie bronił. Wylegitymował się tylko, dał nam dokumenty, myśmy sprawdzili, że to rzeczywiście jest on. Kolega odczytał mu wyrok, bo był wyrok sądu, który skazał go na śmierć i tak to było, położył się. Jest taki dziwny los, że dowódca mojego oddziału, Tadeusz Jaegerman, mieszka w tym budynku dzisiaj, w Alei Niepodległości i

właściwie wszystko stało się przed jego frontowymi drzwiami. Wtedy to nie miało nic wspólnego z tym, ale jak pierwszy raz pojechałem go odwiedzić, to byłem zaszokowany, że to akurat jest w tym budynku.

- **Jak nazywał się kolega, z którym pan był?**

Zbyszek Wąsowicz. Potem, po Tadeuszu Jaegermanie, był głównym naszym... Miał najwyższą rangę wśród nas – nie wiem jaką. U niego w domu była schowana broń i tam żeśmy się spotykali. Jak żeśmy szli na akcję, to miał kochaną babcię, która mieszkała też niedaleko, przychodziła i zawsze w nocy czyściła broń, żeby była gotowa. Przychodząc, przed samym wyjściem na akcję, otwierało się tapczan, w tapczanie leżały wszystkie pistolety, karabiny maszynowe. Każdy brał swoje, bo wiedział, który do kogo należy. Potem się ładowało broń. Był moment, że [w chwili] ładowania broni – zawsze trochę hałasu robi to wszystko – nastawialiśmy płytę *La Comparsita* bardzo głośno, potem czekaliśmy aż przestanie grać i się wychodziło. Mieliśmy szczęście w oddziale, że tylko jeden z nas zginął przez całą okupację.

- **Kto zginął?**

Nazywał się Łysakowski. W Muzeum [Powstania Warszawskiego] jest plakat [dotyczący] rozstrzelania stu dwudziestu więźniów z Pawiaka, jako represja za napad. Myśmy napadli na samochody żandarmów na ulicy Puławskiej, niedaleko Placu Unii Lubelskiej. Po zamachu na żandarmów rozstrzelali stu dwudziestu jeńców z Pawiaka, ale jeden kolega nasz – granat wybuchł pod nim i wzięli go, jako ciężko rannego. Zrobili niespodziewaną sprawę – wyleczyli go. Miał otwarty brzuch, wyleczyli go. Trzymając go w więzieniu, próbowali wyciągnąć z niego, co mogli, ale nic nie zdradził, nic nie powiedział. Potem był znany moment, że powiesili kilku więźniów [przy budynku] sądu przedwojennego na Lesznie. Był jednym z [powieszonych]. W muzeum jest plakat i jest jakby odpowiedź głównego szefa policji niemieckiej czy żandarmerii, który mówi o tym wszystkim, że myśmy byli grupą z Londynu.

- **Czy wykonywał pan inne wyroki?**

Nie, więcej nikogo tak jak tego pierwszego... nie strzelałem.

- **Czy słyszał pan, na przykład, że Polkom, które zadawały się z Niemcami, golono włosy?**

Tak, to się słyszało. Nie miałem z tym nic wspólnego, ale to była normalna sprawa, wiedziało się o tym, że jak się coś takiego zdarzyło, to właśnie taki los je czekał.

- **Czy słyszał pan o szmalcownikach?**

Nie.

- **Ci, co wydawali Żydów.**

Na pewno tacy byli, ale...

- **Wiem, że podziemie też wykonywało na nich wyroki.**

Na pewno. Moje własne, osobiste doświadczenie z Żydami było takie, że się u nas w domu ukrywała przez pewien czas Żydówka, żona jakiegoś muzyka. Dziwiłem się bardzo, jak to jest, że u nas mieszka. Wyglądała bardzo, bardzo jak Żydówka. Bałem się, że to wszystko się źle skończy dla nas wszystkich, ale potem odeszła sama gdzieś i nie było jej.

- **Czy ktoś wam przyprowadził tę Żydówkę?**

Była znajomą sprzed wojny, tak że przyszła do nas jak do znajomych. Przychodziła do nas, mieszkała trochę u nas, tak że mam kontakt z Żydami raczej z tej dobrej strony niż z tej, co o szmalcownikach [się] mówi.

- **Nie pamięta pan, jak się nazywała?**

Nie, tego nie pamiętam. Nasz oddział brał również udział w akcjach przy murach getta. Nasi żołnierze stawali blisko strażników niemieckich i o zerowej godzinie każdy strażnik został zastrzelony. Wtedy przerzucali broń do Żydów, do getta, Żydzi uciekali z getta przez mur, tak że taka pomoc była w czasie, jak było Powstanie w getcie.

- **Czy brał pan udział w takich akcjach?**

Tak.

- **Czy mógłby pan dokładnie opowiedzieć, w którym miejscu pan stał, jak pan strzelał do strażników?**

Trudno powiedzieć. Nawet jakbym miał plan Warszawy, to bym nie wiedział, w którym miejscu to było.

- **Czy to była umówiona godzina i wszyscy...**

To była godzina zerowa. Jaką funkcję miałem w tym wszystkim... Chyba byłem raczej – nie strzelałem do nikogo wtedy, ale byłem obserwatorem, bo chodziło o to, żeby nie tylko ich zastrzelić, ale żeby stamtąd uciec ulicą, gdzie Niemców nie było. Alarm z miejsca powstawał po takich strzałach, tak że jeśli miałem funkcję, to raczej [działałem] w ten sposób.

- **Czy często odbywały się takie akcje?**

Jeśli chodzi o nasz oddział, to wiem, że to raz miało miejsce, przy getcie.

- **To musiało być już umówione z drugą stroną, że wiedzieli, że dostaną broń.**

Trudno mi powiedzieć, bo byłem tylko małym pionkiem w tym wszystkim, nie wiedziałem, co się kryje i właściwie kontakt z całym podziemiem, jaki był, to był właśnie oficer, Tadeusz Jaegerman, a co było dalej, to nie wiem. Do nas tylko przychodziły rozkazy przez niego, co my mamy robić, jaką część. Wiem tylko, że jak byliśmy na cmentarzu, gdzie broń kopali, to okazało się, że jesteśmy jedną, małą jednostką w tym wszystkim. Tam było, takich jak my, wiele innych grup i całe szczęście, że się nic nie stało, bo byłaby jedna, wielka wojna, która by się strasznie źle skończyła, prawdopodobnie.

- **Jak przyszedł moment Powstania, 1 sierpnia 1944, czy były wcześniej przygotowania?**

Wiedzieliśmy, że coś się szykuje. Potem był nakaz, że mamy się stawić – w moim wypadku w Instytucie Higieny na ulicy Chocimskiej (to bardzo blisko placu Unii Lubelskiej, do dzisiaj ten budynek stoi). Przyjechaliśmy na piątą godzinę, zajęliśmy pozycje w tym budynku. Potem zgłosiło się bardzo dużo ludzi, którzy byli tylko ochotnikami, ale nie byli wytrenowani, nie było dla nich broni. Byliśmy uzbrojeni po zęby, bo żeśmy działali w „Kedywie" przez parę lat. Wtedy mieliśmy broń do wyboru, a potem stało się tak, że raptem to się rozeszło, większość dostała po granacie i to było wszystko. Byłem w bramie – było wejście do instytutu i na pierwszym piętrze był pokój. Pamiętam, że miałem widok na ulicę. O piątej godzinie przechodził Niemiec, więc już było wolno, bo o piątej zaczęło się wszystko – oddałem strzał do niego, ale zorientował się, wyjął pistolet i uciekł. Nie trafiłem, niestety. Potem bardzo szybko zaczęła się akcja i widzieliśmy, co się działo na placu Unii – bardzo blisko [jest] aleja Szucha. Zdecydowali, że to był bardzo zły punkt dla nas, [żeby] w tym miejscu być, niebezpieczny, że nasze siły nie równają się z tym, co gestapo mogło [wystawić] przeciwko nam z alei Szucha. Dostaliśmy rozkaz wyewakuowania sztabu poza Warszawę do Lasów Kabackich. Przedarliśmy się przez niemiecki kordon, który nas otaczał. Wiem, że byliśmy na ulicy Chocimskiej, na dole, [gdzie] był jakiś klasztor. Cały oddział się schował w klasztorze, na pierwszym piętrze. Niemcy przyszli, byli pod nami, ale żeśmy się nie spotkali. Potem wyszliśmy przez Królikarnię, doszliśmy do Lasów Kabackich.

- **Wspomniał pan plac Unii Lubelskiej, że tam była ludność cywilna. Czy widział pan, na przykład, żeby Niemcy pędzili ludzi przed czołgami?**

Nie, tego nie widziałem. Widziałem, że jeździli – to się nazywało *Uberfallkommando* – mieli samochody, otwarta półciężarówka z tyłu, ciężki karabin maszynowy był zamontowany u góry. Wozy jeździły po placu Unii i wejść tam, to byłaby, prawdopodobnie, śmierć na miejscu. Nie było szansy, żeby tam atak zrobić.

- **Jak był pan uzbrojony 1 sierpnia?**

Miałem karabin i miałem Parabellum wtedy, a reszta [uzbrojenia] rozeszła się po innych. To była moja broń wtedy. Miałem też granaty. Po Lasach Kabackich zostaliśmy wydelegowani, żeby pójść do Lasów Chojnowskich, jeszcze dalej na południe, i odbierać zrzuty z samolotów, które leciały do Warszawy, ale już były uszkodzone po drodze do Warszawy, żeby nie musieli lecieć do samej Warszawy. Warszawa była tak broniona przez Niemców, że naprawdę dla lotników to musiała być straszna rzecz – lecieć w ogień. Tym, którzy już byli uszkodzeni, wolno im było zrobić zrzuty pod Warszawą, właśnie na umówionym miejscu w Lasach Chojnowskich. Brałem udział w przyjęciu takich zrzutów. Było to bardzo wzruszające, bo się wierzyć nie chciało, że jesteśmy w ciemnym lesie i ni stąd ni zowąd... Nasz samolot nie przyszedł na czas, więc wszyscyśmy poszli spać. Była leśniczówka i był olbrzymi stóg siana, na brzegu lasu. Chciałem zawsze dobrze widzieć, co się dzieje, więc wlazłem na czub stogu siana i zdecydowałem, że tam będę spał. Był moment, że raptem obudził mnie straszny ryk motorów samolotu. Leciał samolot przede mną, prawie na wysokości drzew. Widziałem, w odbiciu blasków deski rozdzielczej w samolocie, zarysy twarzy pilota. To był bardzo wzruszający moment. Motory wydzielały z siebie [smugę] ognia, półtora metra długości, z każdego motoru. Straszliwy ryk, zapalił wszystkie światła – nas szukał. Z miejsca, w przeciągu sekund niemalże, poszły rakiety w górę, zapalili ogniska, samolot poleciał, zrobił olbrzymie koło, przyleciał z powrotem, zrzucił dwanaście kontenerów i odleciał. Z miejsca zrobił się huk, naokoło w całej okolicy, Niemcy zaczęli startować, czołgi. Ale to wszystko trwało prawdopodobnie niecałe dziesięć minut. Samolot zniknął, ogniska zgasły, pozbieraliśmy kontenery. Każda broń była zawinięta w artykuły mundurowe czy bieliznę. Zyskałem z tego wszystkiego piękny, wojskowy mundur, w który zawinięty był ciężki karabin maszynowy Spandau. W kieszeni munduru była paczka papierosów, na wpół wypalonych. Byłem zdziwiony – jak to? Pół już wypalone? Potem dopiero po rozum do głowy sięgnąłem, że osoba, która to pakowała, w ostatnim momencie wyjęła od siebie z kieszeni to, co miała i wsadziła, bo [nic] innego nie miała. Potem się okazało, że jedną z tych osób była baronowa Warszawy, Sue Ryder, Lady Ryder of Warsaw, która była osobą, która zajęła się charytatywnymi sprawami. Wybudowała w Polsce dwadzieścia osiem domów dla niepełnosprawnych, do dziś dnia fundacja istnieje. Królowa angielska nadała [Sue Ryder] szlachecki tytuł, tak że [tytułowała] się *lady* i musiała wybrać wtedy miejsce, które musiało być częścią tytułu. Dostała pozwolenie od królowej na to, żeby to było miejsce poza Anglią i wybrała Warszawę, a komunistyczny rząd dał jej pozwolenie, żeby mogła użyć Warszawy w jej tytule. Tak została Lady Ryder of Warsaw. To była osoba, [która] do dziś dnia jest ceniona. Jest olbrzymia fundacja – nie tylko w Anglii, w Polsce, ale wiele [oddziałów] fundacji jest w całym świecie – do dziś dnia [fundacja] istnieje i pomaga ludziom. [Sue Ryder] mieszkała w Polsce po wojnie, bo jakkolwiek była Angielką, uważała się za Polkę. Odgruzowywała Warszawę (własnymi rękami, były takie akcje), ale przyszedł moment, że zaczęły krzywym okiem patrzeć władze komunistyczne na zagranicznych i wyjechała z Polski, nie mogła dłużej zostać.

- **Czy to ona, między innymi, pakowała wszystko do zasobników?**

Tak. Dlatego uważam, że ona też, w pewnym sensie, brała udział w Powstaniu Warszawskim. Miałem zaszczyt, że byłem jednym jedynym, który ją wziął do miejsca w Lasach Chojnowskich i pokazał, w którym miejscu zrzuty spadły. W książce, którą napisała – „Dziecko mojej miłości" – mówi o Polsce – w ostatniej części książki jest lista samolotów w Brindisi, które latały do Warszawy. Jednym z samolotów był ten, który doleciał i wrócił z powrotem. Dla mnie to był bardzo wzruszający moment.Po tym wszystkim wróciliśmy do Warszawy obładowani bronią, uzbrojeni po zęby, ledwo dający radę iść, bo na plecach, w rękach niosło się, co człowiek mógł. Chwała Bogu, jakoś przedarliśmy się przez linie niemieckie. W samej Warszawie już wpadliśmy na Niemców i mieliśmy potyczkę. Niestety straciliśmy jednego żołnierza – bardzo młody żołnierz.

- **Czy pamięta pan, jak się nazywał albo jaki pseudonim miał?**

Jest opisany w książce Tadeusza Jaegermana. Zdaje się, że nazywał się, miał pseudonim „Szczęsny". Bardzo młody. Pamiętam, że mówił: „Jezus Maria, to dziś piątek. – To chyba był trzynasty – Trzynasty i piątek, to jest koniec". I rzeczywiście. Niestety, [po] potyczce, jaka była, leżał zabity Niemiec i trzymał w ręku granat. Granat – typ który miał rączkę i jakby młotek. Z tyłu, z rączki trzeba było wykręcić, sznurek wychodził i trzeba było pociągnąć za sznurek. To już było odkręcone. [Niemiec] leżał, ten chłopiec wyjął mu z ręki granat i wsadził sobie za pas – [granat] z luźnym sznurkiem. Potem, jak leciał pochylony, wpadł na jakieś krzaki, wyszarpnęło mu sznurek, granat wybuchł i go zabił.

- **W którym miejscu była potyczka?**

Od strony Wilanowa, myśmy szli ulicą Wilanowską – wtedy jeszcze nie była zabudowana tak jak dzisiaj. To było – nie wiem, jak się ulica nazywa – jak się dojeżdża od zachodu, jest Wilanów, potem się rozchodzi – jedna, główna ulica idzie prosto, a [druga] skręca w lewo (na końcu, dalej, byłby plac Unii Lubelskiej).

- **Z Wilanowa państwo szli. Była aleja Wilanowska, Sobieskiego i Wiertnicza.**

Jedna z tych ulic. Główna ulica, która dzisiaj jest i którą można dojechać do samego mostu (pierwsza, główna ulica). Potem, jak się skręciło w lewo, do góry, to na plac Unii się wyjechało.

- **Powsińska.**

Główna ulica, tylko że wtedy nic tam nie było. To było w tych okolicach.

- **Gdzie później na Mokotowie była kwatera?**

Trudno powiedzieć, bo rzucono nas z miejsca [do akcji] jako wypoczęte oddziały, a myśmy przyszli kompletnie skonani. Byliśmy na zachodniej stronie Belwederu, gdzie niżej się schodzi (bardzo blisko Belwederu). Zakwaterowaliśmy w jakimś budynku i potem rzucono nas do akcji w tych okolicach. Tam zostałem prawie z miejsca ranny. Postrzelono mnie w ramię. Odprowadzono mnie do szpitala na Chełmską. Tak że właściwie trudno mi powiedzieć, jaki był los mojego oddziału później, bo z nim nie byłem – byłem w szpitalu.

- **Jak to wyglądało w szpitalu?**

Bardzo duże piętra, to był bardzo porządny, stary budynek. Do dzisiaj tam pamiątkowa tablica stoi – to jest teren jakiejś fabryki, ale można wejść, pamiątkowa tablica stoi, kwiaty są ([starego] budynku już nie ma). Byłem na drugim piętrze, dla lżej rannych, byli wyżej. Szpital – właściwie całkiem normalnie to wszystko wyglądało. Uważałem się za fotografa mojego oddziału – miałem piękne kieszenie w tunice, w jednej były nowe filmy, a w drugiej zużyte filmy. Ponieważ miałem rękę unieruchomioną, więc miałem tylko jedną rękę [sprawną], ale mogłem chodzić. Przy oknie stałem i przyszedł moment, że ni stąd ni zowąd przyleciały samoloty, sztukasy, zaczęły nas bombardować. Miałem moment, trudno uwierzyć, ale to jest absolutna prawda, że robiłem zdjęcie sztukasowi, jak leciał prosto na mnie. Widziałem, że jakby kulki leciały po bokach. Potem się zorientowałem, że to były bomby, które leciały prosto na nas. Niestety cały szpital się w tym momencie zawalił, wszystko nad nami. Wyszło nas trzech z piętra. Dwudziestu sześciu rannych się spaliło żywcem. Słyszałem, jak się palili – to było straszne. Po wszystkim, jak już opadł kurz, zobaczyłem, że coś przez gruzy świtało, widać było jakieś światło z daleka. Z tyłu, za mną, był jeszcze żołnierz, który mówi: „Idź, idź". To było niedaleko okna. W końcu popatrzyłem po sobie, że [całe ramię] mam mokre – to była krew. [Wyczułem] swoje palce, ale nie mogłem nimi nic robić, więc palce między zęby wziąłem i zacząłem wypychać deski, które były, a [żołnierz] z tyłu mnie też popychał. W końcu wyszedłem przez dziurę gruzu, wystawiłem głowę na zewnątrz i widziałem, że to była makabra kompletna. W dole leżeli ranni ludzie, pourywane ręce i nogi. Strzępy człowieka wisiały wyżej, nade mną. Żeby wyjść stamtąd, musiałem powiesić się jedną ręką na desce. Kolega z tyłu wypchnął resztę mego ciała, zawisnąłem na dwóch piętrach, druga ręka w moich zębach, [prawe ramię] zalane krwią. Strzępy człowieka, który wisiał nade mną – kompletnie byłem zalany jego krwią. Jak spadłem w końcu na dół – nic mi się nie stało (dziwię się), tylko ręka mi z zębów wypadła i gdzieś poleciała, ale jeszcze należała do mnie. To była straszliwa makabra. Paliło się z tyłu, za mną, cały budynek. Nie mogłem na to wszystko patrzeć, odszedłem, wywlokłem się na pole kartofli. Położyłem się w kartoflach i tak leżałem. Potem przyszedł zmrok, wszystko się dalej paliło, więc było wszystko dobrze widać. Niemcy strzelali z karabinów maszynowych, nad głową mi kule latały. Potem przyszły sanitariuszki, zobaczyły, że leżę. W końcu mnie wzięli, wynieśli mnie stamtąd i zanieśli mnie w bezpieczne miejsce, gdzie leżałem z wszystkimi innymi. Straszne płacze i krzyki. Raptem przyszedł oficer. Miał ze sobą żołnierzy, którzy mieli dwie pary noszy. Okazało się, że to był oddział szwoleżerów. Dowódca szwoleżerów przyszedł szukać lekarza, wiedzieli, że jest właśnie tam i wiedzieli, że jest ranny. Przyszli go zabrać. [Dowódca] stoi, potem powiedział do swoich żołnierzy, co nosze mieli: „Bierzcie tego, on jest cicho". To byłem ja. Wzięli mnie. Potem jeszcze im tłumaczył: „Jak będziecie przeskakiwać przez ulice – bo wszystkie ulice, to karabin maszynowy siekł

– nie martwcie się o nosze, tylko o siebie". Nosze są na poziomie karabinu maszynowego, ale jakoś miałem szczęście, że donieśli mnie do ich punktu sanitarnego, który był na ulicy Belgijskiej, na górnym Mokotowie (tam była fabryka proszków od bólu głowy, znany przed wojną proszek od bólu głowy – były proszki z kogutkiem, starsza generacja na pewno to potwierdzi). W piwnicach fabryki zrobili mały szpital dla rannych. Właśnie był ich lekarz, który, niestety, stracił wzrok. Tam byłem i było pięć, sześć osób innych. Biedne, piękne sanitariuszki – jak mnie tam przynieśli, byłem cały zalany krwią – nie wiedziały od czego zacząć, ale w końcu, jak mnie wymyły, to się okazało, że mam strzaskaną całą rękę i że część ledwo się trzyma góry. Jeszcze miałem straszny upływ krwi. W końcu nastał moment pewnego spokoju, że byli ranni, każdy leżał w łóżku, miał bieliznę. Na drugi dzień weszła do pokoju prawdziwie historyczna siostra, ubrana w kapelusz „fruwający" – to ma swoją nazwę, nie wiem jaką, ale miała cały strój. Miała w ręku menażki. To są takie elementy, że zupa w jednym, w drugim co innego, wszystko się w ramce trzyma i można nieść. Spytała się o lekarza. Lekarz przyszedł, powiedziała: „Przyniosłam obiad. Niedzielny obiad, ale dla jednej osoby". Lekarz popatrzył się po wszystkich rannych, co leżeli i powiedział: „Dajcie jemu". To znaczy mnie, bo miałem największy upływ krwiW całym Powstaniu zjadłem przedwojenny, niedzielny obiad – sztuka mięsa, rosół. Po prostu wierzyć się nie chciało. Miałem szczęście. W ogóle miałem szczęście, że lekarz jeszcze miał zastrzyki, które mi dożylnie wbijali, codziennie, żeby wyratować mój upływ krwi. . Punkt był na wprost – niedaleko była pozycja niemieckich żandarmów na ulicy Dworkowej. To był bardzo znany punkt w czasie okupacji, tam byli Niemcy. Strasznie byli źli na powstańców, bo grali tam w siatkówkę. Za murem mieli siatkę, a nasi strzelcy wyborowi siedzieli koło nas i w końcu rozczytali, w którym miejscu jest siatka i kilka razy zdarzyło się tak, że jak Niemiec podskoczył, żeby ściąć piłkę, to został zastrzelony przez naszego strzelca wyborowego. [Niemcy] strasznie się rozzłościli. Mieli wyrzutnie rakietowe, na samochodach – to były tak zwane krowy. [Był] zgrzyt – jak zgrzytało blisko, to nie było niebezpieczne, bo wiadomo było, że pociski pójdą daleko. Jak zgrzytało daleko, to człowiek nigdy nie wiedział, czy jest sam obiektem pocisków. Ustawili sobie rakietę – specjalnie to zrobili, żeby zmienić jej kąt, żeby wyżej poszła i żeby strzeliła na nas. Pechowo dla nich się stało, że jak wystrzeliło, to spadło na nich samych. Mówię o tym dlatego, że to się strasznie źle skończyło, bo w końcu po kapitulacji [Niemcy] przyszli. Pierwsze miejsce – wpadli właśnie na dom, gdzie był sanitarny [punkt]. Poczułem pismo nosem i jak się dowiedziałem, że jest kapitulacja, to – ponieważ mogłem chodzić, wtedy już byłem trochę silniejszy – wyszedłem stamtąd. Po gruzach poszedłem w stronę centrum Mokotowa. Potem się tylko dowiedziałem, że jak [Niemcy] przyszli, to wystrzelali wszystkich, którzy tam ranni byli. Tak że też miałem znowu szczęście. Sam po gruzach szedłem i wszedłem na mojego przyjaciela, który obsługiwał nasz ciężki karabin maszynowy i który zawołał do mnie: „Stój, bo strzelam!". Potem była wielka radość, żeśmy się spotkali. Co prawda na sobie właściwie nic nie miałem, jakieś gumowe buty i damską jesionkę. Byłem we frakowej koszuli bez ani jednego guzika – długa koszula, piękna, sztywny front miała (nie wiem skąd, ale miałem koszulę). Wpadłem w ręce mego oddziału, który się mną zajął do momentu, kiedy żeśmy się rozstali. Wszystkich rannych kazano zgromadzić w jednym budynku. Trudno mi powiedzieć, jaka to była ulica, ale jedna z głównych ulic Mokotowa, poprzeczna do Puławskiej. Wszyscy [inni] odeszli, musieli odejść, jak była kapitulacja. Znalazłem się w budynku. Było pięciu czy sześciu kolegów, którzy też byli ranni, leżeli w pięknym gabinecie, pięknie umeblowanym, jakiegoś bardzo znanego, chyba polskiego sportowca – już nie pamiętam nazwiska. Był moment, że podpalili nasz budynek Niemcy. Ci, którzy mogli chodzić, mieli trochę siły, ugasili pożar. Pełen budynek był zajęty rannymi. Niemcy powiedzieli, że trzeba rannych tam przynieść i oni będą nas ewakuować osobno. Ale w międzyczasie próbowali nas spalić. Chwała Bogu nie stało się tak, jak mieli na myśli. Przyszedł porządny lekarz niemiecki, popatrzył na nas wszystkich, na to wszystko i powiedział: „Słuchajcie, bierzcie z tego budynku, co możecie, ubierzcie się, bo ten budynek i tak będzie spalony. Nie miejcie żadnych skrupułów a propos własności". Poszedł. Jak lekarz nam zostawił taką radę – dwóch czy trzech kolegów, którzy byli w pokoju, w którym myśmy byli, poszło do piwnicy, która należała do mieszkania, w którym byliśmy. Otworzyli piwnicę, [gdzie] się znalazły schowane rzeczy na okres wojny. Przynieśli ubrania, żebyśmy się ubrali. Przynieśli to wszystko w pięknej, dużej walizie. To był tak jakby mały kuferek, ale duża waliza, wykończona jak lakierki, czarna, świecąca się. Miała strasznie dużo naklejek z całej Europy. Tak że kontrast pomiędzy biedną, palącą się Warszawą, a tu raptem taka historyczna walizka. Wszyscyśmy się ubrali pięknie. Patrzyłem z żalem, jak wszyscy próbowali [włożyć] piękne buty oficerskie, z cholewami, ale na nikogo nie pasowały. Na mnie weszły, jedną ręką mogłem but założyć, tak że byłem pięknie ubrany. Wtedy, gdy byłem ranny – to, co miałem na sobie, to zostałem w strzępach kalesonów

dosłownie. Jak to się stało, że zdarło ze mnie wszystko bez zrobienia większych ran – nie wiem, ale tak było. Moment, jak mieliśmy już wychodzić – Niemcy powiedzieli, że przyjadą po nas furmanki, furmankami zawiozą na Służewiec (na [teren] wyścigów konnych) – tam, zdaje się, był dojazd linii kolejowej – i załadują nas na pociąg. Pomyślałem sobie, że w takim razie w tę wielką walizę wezmę ile się da, ubrania, bielizny. Nie dla siebie, tylko żeby rozdać, bo na pewno znajdę ludzi, którzy będą potrzebowali. W końcu przyszedł moment – furmanki jadą do Warszawy, przyjechały, jedna za drugą, podjeżdżają pod nasz tymczasowy szpital. Stoję pod domem, z walizą, zostaje przydzielony mi Niemiec z karabinem. Przyjechała furmanka, zaczynam iść do [niej], ale walizka została. Poklepałem Niemca po ramieniu i powiedziałem: „A walizka?". Śmieszny moment, że biedny jeniec idzie na furmankę, a za nim idzie Niemiec z karabinem i targa walizę. Tak że wyjechałem z Warszawy w bardzo luksusowy sposób, w kontraście do biednych innych, którzy nie mieli takiego szczęścia jak ja w tej sytuacji. Przyjechałem na Służewiec i rzeczywiście znalazłem tam pozbieranych ludzi, rannych, tak że zawartość walizki bardzo szybko się rozeszła pomiędzy tych, którzy nie mieli rzeczy.

- **Czy, jeszcze jak trwało Powstanie, wiedział pan, że oddziały schodzą do kanałów?**

Chciałem sam wejść do kanału. Byłem na głównym punkcie na Mokotowie, ale jak mnie zobaczyli, w jakim stanie jestem (miałem wszystko w gipsie), powiedzieli mi, że nie mam szansy. Wejść do kanału, to bym wszedł, ale przejść ten dystans – drugi koniec był, zdaje się, w Alejach Ujazdowskich, na rogu Wilczej – nie było szansy, żebym to zrobił. Widziałem, jak wchodzili do kanałów, ale nie miałem osobiście doświadczenia, żeby być w kanałach.

- **Czy był pan wtedy zły, że nie mógł pan wejść?**

Tak, bo mi się wydawało, że to był moment, gdzie człowiek czuł się może nie tyle wolny, ile była jedyna szansa, żeby z koszmaru wyjść, że tutaj Mokotów się poddaje, a tam jeszcze walczą – nasi, w Śródmieściu. W moim wypadku, prawdopodobnie, to była opieka Opatrzności, że nie wszedłem, bo bym stamtąd nie wyszedł.

- **Albo mógłby pan wyjść na Dworkowej.**

Albo wyjść na Dworkowej. Właśnie. Film Wajdy bardzo dobrze to pokazuje, jak...

- **Czy faktycznie były dantejskie sceny, gdy wszyscy ludzie chcieli do kanału zejść?**

Nie widziałem. Ale wtedy, jak tam byłem, to prawdopodobnie większość już wyszła, przeszła, bo to był ostatni, końcowy moment, że Niemcy już... Zdaje się, że na drugi dzień była już formalna data kapitulacji Mokotowa.

- **Czy miał pan kontakt z rodzicami albo z siostrą w czasie Powstania?**

Owszem, miałem raz, jak już byłem ranny. Był moment, że przyszli mnie odwiedzić w szpitalu, zanim nas zbombardowali – przynieśli mi pocztę z domu, która przyszła kanałami z ulicy Wilczej – do dzisiaj figurują w mojej kolekcji filatelistycznej dwie kartki od rodziców, zaadresowane „Janusz OS-5" – i doszło, jakaś kurierka przyniosła. Bardzo się ucieszyłem. Zaczęło się od tego, że wysłałem gryps – napisany na bibułce, żeby było jak najmniejsze, żeby kurierka mogła wziąć jak najwięcej. [Rodzina] dostała karteczkę, z pieczątką, pisaną chyba nie przeze mnie, bo jeszcze trzy lata nie miałem ręki, w końcu nauczyłem się pisać lewą ręką. Wtedy jeszcze nie mogłem tego robić, tak że ktoś na pewno mi to napisał.

- **Czy rodzice przeżyli Powstanie?**

Rodzice przeżyli Powstanie.

- **Czy siostra brała udział w Powstaniu?**

Siostra, którą wciągnąłem do podziemia, też działała w wywiadzie, w którym byłem. Niestety wpadła. Trzy zostały w 1943 czy 1942 roku aresztowane. Moja siostra była posądzona o zdradę stanu, została wywieziona do Berlina z dwiema koleżankami. Miała sąd wojenny – dziesięciu generałów w czerwonych portkach ją sądziło. Obie dostały karę śmierci, trzecia dostała dwa czy trzy lata więzienia. Moja siostra apelowała i rok później sąd apelacyjny zamienił jej karę śmierci na osiem lat ciężkiego więzienia. Tak że to jest inna historia. Żyje do dzisiejszego dnia. Bardzo ciekawa sprawa to wszystko było, ale to właściwie już nie było AK.

- **Gdzie mieszka?**

Mieszka w Gdańsku. [...]

- **Jak ma na imię siostra?**

Maria.

- **Czy miała pseudonim w czasie konspiracji?**

Miała pseudonim „Kamila".

- **Wracając do pana losów. Pan został na Służewcu ze wszystkimi rannymi. Gdzie Niemcy potem więźniów wywieźli?**

Potem nas załadowali w otwarte furgonetki kolejowe po węglu. Zawieźli nas do Skierniewic. W Skierniewicach były duże baraki przejściowe. Proszę sobie wyobrazić, jak wyglądali chorzy. Ja to jeszcze byłem ubrany i chodziłem, ale inni – tam byli tak ciężko ranni, że ich się bali... Razem z bielizną, ze wszystkim, ładowali ich do ciężarówek. Jak pociąg ruszył, to dym z lokomotywy, wiatr, ruszył pył od węgla. Jak żeśmy przyjechali do Skierniewic, to wyglądaliśmy jak wszyscy byśmy wyszli z kopalni węgla. W Skierniewicach bardzo ciężko rannych oddelegowali do lokalnych szpitali, a innych wsadzili – muszę powiedzieć, że też miałem szczęście, bo nam dali niemiecki, sanitarny pociąg, którym wozili niemieckich żołnierzy, tak że nie możemy narzekać. Było nas, na jeden bydlęcy wagon, który był bardzo czysty, w którym był stół, siedzenia, ławki. Było sześć podwójnych pryczy w wagonie. Mieliśmy, stosunkowo, luksusy – i mieliśmy bieliznę, i koce. Niemiec z karabinem pilnował nas i opróżniał kubełek – tylko pociąg stanął, to jego obowiązkiem było iść i opróżnić kubełek. Pojechaliśmy do szpitala w Altengrabow. To był olbrzymi obóz jeniecki koło Magdeburga. Tuż na granicy, we Frankfurcie, stanęliśmy. Wieźli pociąg Niemców rannych, z Warszawy. Stanęliśmy obok siebie – o mały figiel nie zaczęła się wojna. Niemiec z karabinem musiał uspokoić Niemców w tamtym wagonie, żeby dali spokój, że to już po wszystkim. jakoś nie doszło do żadnej [bijatyki], ale...

- **Kto pierwszy zaczął?**

Niemcy. Niemcy raczej byli wściekli, że... Prawdopodobnie jeszcze byli o tyle wściekli, bo widzieli, że luksusowo sobie siedzimy przy stoliku, mamy normalne, ludzkie warunki. A tam byli naprawdę porozbijani faceci. Przyjechaliśmy do Berlina, pociąg stanął. Słyszało się o nalotach na Berlin, ale raptem jesteśmy w Berlinie i jest nalot. Staliśmy, otwarty wagon był, patrzyliśmy na reflektory i widzieliśmy samoloty, które były na wielkiej wysokości. Rzeczywiście bomby, które zrzucali, były tysiąctonowe i im dłużej leciały, tym więcej gwizdały – robiły straszny, przenikliwy hałas. Stałem – tak mi się wydawało, że stałem w mojej jesionce, ale jesionka została sama, a ja się kurczyłem w niej. Potem był moment, że robiło się widno jak w dzień. Odliczyłem dziesięć czy osiem sekund, był wybuch i wtedy wagon, o mały figiel, nie [wyskoczył] z szyn. Tak że to było nieprzyjemne, ale ciekawe do zobaczenia.

- **Czy w tym obozie doczekał się pan wyzwolenia?**

Nie, jeszcze nie. Byłem w obozie – to był chyba wrzesień czy październik, jak mnie tam wieźli. Przywieźli mnie w końcu do obozu w Altengrabow. Leżałem w szpitalu, zrobili mi jeszcze operację, poprawili mi gips, bo wszystko się rozpadało. Polski lekarz, też jeniec wojenny, dbał o mnie. Był ciekawy moment: jak przyjechaliśmy do obozu i zaczęli nas rozładowywać, to zrobił się alarm. Okazało się, że leciała armada bombowców alianckich i – też się wierzyć nie chciało – lecieli w trzech liniach, eskadra za eskadrą. Nam nie wolno było się ruszać, chodzić ani nic. Na początku leciał jeden samolot. Pierwszy samolot, który leciał, zrzucił mały spadochron na początku obozu – zdaje się, czerwonego koloru. Jak był po drugiej stronie obozu, to zrzucał spadochron z zielonym kolorem, tak że dawał znać, że na ten teren nie wolno żadnych bomb zrzucać (to był olbrzymi obóz). Lecieli przez trzy godziny – proszę sobie wyobrazić, ile tego szło, jakie to musiało być straszliwe piekło [dla tych] miejsc, gdzie [lecieli] zbombardować. Wierzyć się nie chce, że przez trzy godziny mogły lecieć samoloty – jeden za drugim – ile tego musiało być. W obozie byłem do lutego. W lutym zdecydowali się nas przenieść, przynajmniej mnie, do innego

obozu. Obóz był w Sandbostel – to był obóz pomiędzy Bremą, Hamburgiem i Cuxhaven, w środku był obóz. Przez całe Niemcy musieliśmy jechać. Ale zaczęło się od jeszcze jednego nalotu na stacji w Magdeburgu. To był dzień najcięższego nalotu, jaki Magdeburg w ogóle miał. Obok naszego pociągu stał pociąg z chorągiewkami „P", to znaczy *Panzer,* czyli amunicja, broń. Resory były na płasko – nie wygięte, tylko na płasko. Z drugiej strony [stał] pociąg z benzyną. Byliśmy w bardzo ciężkiej sytuacji, ale, chwała Bogu, nikt nic nie zrzucił, nie zapalił stacji i szczęśliwie z tego wyszliśmy.

- **Proszę opowiedzieć o dniu pana wyzwolenia.**

Miałem wielkie szczęście. W obozie w Sandbostel sytuacja była bardzo niewyraźna. Chcieli nas ewakuować, a ewakuacje były połączone z bardzo trudną sytuacją, strzelaniem do ludzi. Kazali ludziom iść nie wiadomo gdzie i w jakim tempie. Zdecydowałem, że na żadną taką ewakuację nie pójdę. Udało mi się zostać w obozie. Musiałem się przedstawić u niemieckiego lekarza, esesmana, któremu powiedziałem, że jestem ciężko ranny i że nie mogę chodzić. Zwolnił mnie z marszu. Potem byłem w obozie, do którego Niemcy przyprowadzili dziesięć tysięcy więźniów z obozu koncentracyjnego, tak że w tym samym obozie mieliśmy obóz koncentracyjny i jeńców wojennych. Niemcy przekazali obsługę obozu więźniów, nam, bo nie wiedzieli, co robić. Wehrmacht po prostu nie był przygotowany, nie wiedział, jak zarządzać więźniami. Tak że jeńcy wojenni, myśmy o nich dbali w tym okresie, rządziliśmy się trochę i mówiliśmy Niemcom, co mają im gotować i tak dalej. W ostatnim momencie zrobił się tak wielki bałagan we wszystkim, że udało mi się z obozu uciec. Uciec – w sensie, że wyszedłem z obozu i siedziałem gdzieś w krzakach, niedaleko. To już był ostateczny moment [...]. Była olbrzymia, otwarta przestrzeń, z prawej strony był las i strzelali z lasu. Z lewej strony strzelali znowuż do lasu. Od czasu do czasu podnosiła się na bagnecie biała chustka, Niemiec wstawał i maszerował do lasu. Tak się wojna przewaliła, skończyło się strzelanie. Dalej siedzę w krzakach, nikt mnie nie zastrzelił. Raptem widzę – jedzie samochód, jeep, terenowy, wojskowy samochód. Na miejscu pasażera jest żołnierz z karabinem maszynowym. Dziwię się bardzo, bo samochód jedzie przez pole z kartoflami i jakoś zupełnie dawał sobie radę. Widocznie mnie zobaczyli, bo przyjechali do mnie i okazało się, że z tyłu siedział pułkownik polskiego wojska – widziałem epolety, rangę. To byli polscy chłopcy, tak że zostałem wyzwolony przez naszych, własnych chłopców. Na drugi dzień zrobili polowy szpital wojskowy, polski. Też miałem wielkie szczęście, zgłosiłem się do tego szpitala. Lekarz popatrzył na moje rany i powiesił mi jakąś kartkę na szyi. Od tej pory przychodzili, tylko patrzyli na kartkę i jechałem tu czy tam. W końcu wylądowałem na lotnisku, gdzie mnie wsadzili w samolot i zawieźli mnie do Brukseli. W alianckim szpitalu zrobiono mi operację ręki. Wyrwało mi szesnaście centymetrów głównego nerwu, tak że nie miałem władzy w ręce zupełnie, a poza tym jedna wielka dziura, to wszystko się trzymało ledwo, ledwo razem. Próbowali zrobić operację, żeby złączyć nerwy. Przyszło dwóch młodych lekarzy do mnie i powiedzieli, że bardzo przepraszają, ale niestety nie udała się operacja. Znaleźli jeden koniec [nerwu], a nie mogli znaleźć drugiego. [Zapytali], czy bym pojechał do Anglii, do specjalnego szpitala. Oczywiście powiedziałem, że wszędzie pojadę, byle mnie zreperowali. Na drugi dzień, nawet mi się nie pozwolili ubrać, tylko na noszach, wsadzili mnie w samolot i przywieźli mnie do Anglii. Wylądowałem w końcu w specjalnym szpitalu ortopedycznym, gdzie głównym ortopedą, głównym chirurgiem był przyboczny lekarz króla Jerzego VI, dość sławna osoba, która była właściwie ojcem ortopedów na całym świecie. Napisał olbrzymie dzieło na ten temat i każdy student, który studiuje ortopedię, to właśnie z tej książki. To był Szkot. Zrobił mi w końcu operację. Udała się. Leżałem w polowym szpitalu, bardzo małym (to było – [jeśli ktoś] słyszał o Robin Hoodzie, to właśnie w lasach Robin Hooda był ten szpital). Przyszedł do mnie ten lekarz i powiedział: „Słuchaj, wszystko zrobiłem, co mogłem. Teraz ty – na kolana i pomódl się do Pana Boga, przez sześć miesięcy, a po sześciu miesiącach zobaczymy, co z tego będzie". Rzeczywiście – jeszcze miałem dużo innych, różnych zabiegów, wozili mnie w tę i z powrotem – po sześciu miesiącach przyszedł inny lekarz i zaczął rozmawiać ze mną. Bawił się moją lewą ręką, a potem, raptem przeszedł do mojej prawej ręki, powiedział: „Zrób tak" – [poruszaj palcami]. Nie zrobiłem, ale wszystko mi drgnęło. Widać było, że nerwy zostały połączone.

- **Jak nazywał się lekarz, który uratował panu rękę?**

Nie pamiętam w tej chwili.

- **Mam jeszcze dwa pytania odnośnie Powstania. Robił pan zdjęcia.**

Robiłem masę zdjęć, ale jak byłem ranny, jak sfotografowałem sztukasa (ostanie moje zdjęcie), to wszystko poszło. Aparat, moje ubranie, wszystkie zdjęcia, wszystkie filmy – nic nie wyszło z Powstania, nic nie miałem, absolutnie. A wszyscy mieli zapowiedziane w całym oddziale, że jak ja, nie daj Boże, zginę, to żeby wzięli przynajmniej [filmy] z lewej strony kieszeni, bo to są filmy do wywołania, [naświetlone]. Robiłem zdjęcia, naprawdę byłyby absolutnie bombowe, bo hysia miałem na punkcie fotografii w ogóle.

- **I „bombowo" skończyły.**

Rzeczywiście nic z tego nie wyszło. Szkoda.

- **Czy miał pan sympatię, narzeczoną, w czasie Powstania?**

Narzeczoną miałem, ale narzeczona była w Śródmieściu, tak że nie mieliśmy kontaktu ze sobą zupełnie. Potem, niestety, ale to wszystko... Do dziś dnia utrzymujemy kontakt i widujemy się, ale życie nas pokierowało inaczej. Wtedy jedyną szansą, żeby się połączyła ze mną, to było przejście przez zieloną granicę, ale to było tak niebezpieczne, że zdecydowałem, że niestety, ale to byłoby dla mnie straszne, gdyby straciła życie, przechodząc przez granicę. Moja żona przejechała tak właśnie, przez zieloną [granicę] – ciężarówką jechała z Krakowa do Monachium, przez Czechy. Strzelali [do nich, ale] w końcu jakoś dojechali.

- **Czy wojenna narzeczona była jeszcze z czasów okupacji?**

Z czasów okupacji. To była pierwsza moja miłość, jeszcze ze szkoły jedna jedyna miłość.

- **Czy pamięta pan, kiedy ostatni raz pan się z nią widział w czasie wojny? Czy to było przed Powstaniem?**

Prawdopodobnie dzień albo dwa przed Powstaniem.

- **Kiedy pan ją zobaczył po wojnie?**

Po wojnie, pierwszy raz, jak przyjechałem, to był 1959 rok albo 1960. Piętnaście lat po wszystkim dopiero.

- **Dlaczego pan nie chciał wrócić wcześniej?**

Przede wszystkim, jak już wyszedłem ze szpitala, to jeszcze przez dłuższy czas byłem pacjentem, robili mi różne elektromasaże, żeby wszystko doszło do siebie. W międzyczasie zapisałem się na uniwersytet i zacząłem studiować architekturę. Poza tym siostra pisała: „Wracaj". A ojciec pisał: „Nie wracaj, bo tutaj prześladują akowców". Nawet był taki moment, że byłem w obozie repatriacyjnym do Polski, ale w końcu nie pojechałem.

- **Czy zdradzi nam pan imię swojej narzeczonej, jej pseudonim?**

Pseudonim – nie wiem, a imię było Mirosława. Nazywała się Mirosława Osmolska.

- **Czy walczyła w Śródmieściu?**

Też chyba walczyła w Śródmieściu. Nie bardzo wiem, ale chyba była kurierką.

- **Ostatnie pytanie. W czasie Powstania miał pan dwadzieścia dwa lata.**

Nie, mniej miałem. Dwudzieste pierwsze urodziny obchodziłem w Anglii w 1946 roku, w styczniu. W Powstaniu miałem dziewiętnaście lat.

- **Dziewiętnaście lat. Jak by pan miał znowu dziewiętnaście lat – czy poszedłby pan do Powstania Warszawskiego?**

Oczywiście. Oczywiście. Różnie mówią o Powstaniu, o motywacji, o tym wszystkim, ale byłem młody, byłem żołnierzem i musiałem wykonywać to, co mi kazano. Wtedy moja opinia była taka, że gdyby Niemcy byli tak zdezorganizowani, tak się wydawało przed samym momentem wybuchu Powstania, że gdyby nam zabronili zrobić Powstanie, to chyba by wybuchło w niezorganizowany sposób. Nie wiem, tak mi się wydaje, że była taka nienawiść, że ciężko było pozwolić im pójść i nic [pod tym względem] nie zrobić.

Londyn, 25 stycznia 2008 roku

Rozmowę prowadziła Małgorzata Brama

http://ahm.1944.pl/Janusz%20Seweryn_Kent/8